



Rozmowa z Arcybiskupem Kazimierzem Nyczem o Duchu Bożym w polskim Kościele i społeczeństwie

6/2007 (11)

HW: Obecny numer „Horyzontów Wychowania” poświęcony jest *(nie)obecności Ducha* rozumianego jako Ducha Bożego, ale także jako ducha różnych zjawisk społecznych życia. Zaczniemy od Ducha Bożego. Sobór Watykański II wniósł mocny powiew tego Ducha, ale to stało się 40 lat temu. Jak według Księdza Arcybiskupa przejawia się to w polskim Kościele dzisiaj?

Abp K. Nycz: Myślę, że na Sobór Watykański II właśnie dlatego, że się skończył 40 lat temu, trzeba już patrzeć z perspektywy tej szerokiej, historycznej i sądzę, że to spojrzenie zaczyna być coraz bardziej obecne w refleksji teologicznej czy w refleksji historyków Kościoła, aniżeli w myśleniu ludzi. Kiedy się sam nad tym zastanawiam, to mi się wydaje, że trzeba patrzeć przez pryzmat tych trzydziestu – dwudziestu paru lat, poprzez które Kościół dorastał do Soboru Watykańskiego II. Trzeba na nowo odkrywać całą sprawę odnowy kerygmatycznej – przedwojennej jeszcze. Następnie trzeba odkrywać to, co widzieli w Kościele, jako potrzebę otwarcia właśnie na Ducha Bożego i na nowe czasy tacy teolodzy jak Yves Congar, Hans Urs von Balthasar, Henri de Lubac czy Karl Rahner i inni. Oni byli de facto twórcami Soboru – działali po ludzku – jakby za wcześnie, bo zostali upomnieni za to, co pisali, co głosili. A później miało się okazać, że to, co głosili, stało się fundamentem Soboru.

Dzisiaj coraz częściej mówi się przy dyskusjach na temat Soboru o Piusie XII, analizuje się jego wystąpienia, patrzy się na to, jak on „mierzył” się w swoich wystąpieniach z nowymi wyzwaniem, z nowymi problemami. W swoich wystąpieniach i swoich encyklikach odnosił się, nie cytując nazwisk, do tych wszystkich prądów, które podsuwali wspomniani teolodzy, ale zresztą nie tylko ci. Jednakże był już w podeszłym wieku, by

ten Sobór zwołać. W związku z tym patrzę osobiście na błogosławionego Jana XXIII, jako na tego, który swoim krótkim pontyfikatem – chciałoby się powiedzieć po ludzku, że nie miał nic do stracenia – wprowadził Kościół na nowe tory, uwzględniając to wszystko, co mówili jego poprzednicy, co mówili teolodzy. Otworzył okno i przewietrzył Kościół – jak się mówiło, przeprowadził to wielkie *aggiornamento*, lecz Pan Bóg nie pozwolił mu, żeby to on ten Sobór doprowadził do końca.

Potem przyszedł Paweł VI i te trzy lata właściwego Soboru, które sprawiły, że my wszyscy – moje pokolenie osobiście, byliśmy zaskoczeni tym, co Sobór przyniósł. Przeżywaliśmy na sobie radykalne zmiany w zakresie pojmowania liturgii, radykalne zmiany w zakresie pojmowania eklezjologii. Przecież ja jestem człowiekiem, który przez pierwsze lata seminaryjne, przez katechezę szkolną wychowany był na piramidalnej bellarminowskiej definicji Kościoła. Dla mnie pokazanie tego wszystkiego było czymś niezwykle nowym, świeżym, no i zwłaszcza – do tego pewnie wrócimy w rozmowie – cała kwestia, problematyki, która na Soborze była trudna, to znaczy schemat trzynasty, czyli dzisiejsza Konstytucja o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, bo to była zupełna reorientacja sposobu obecności Kościoła w życiu społecznym i politycznym, zmiana sposobu z tego urzędowego – chciałoby się powiedzieć – na obecność katolika ukształtowanego religijnie, na jego wyjście w świat, na odpowiedzialność własnego sumienia, uformowanego sumienia. I to jest ten kontekst ducha w znaczeniu ducha Soboru, przez który na pewno, i tutaj nie ma nikt żadnej wątpliwości, przemówił Duch Święty do Kościoła, dla którego jest On duszą.

A potem przyszła żmudna, długa, trwająca już czterdzieści lat asymilacja tego Soboru. Dlatego mnie się wydaje osobiście, że cała odnowa, suma zmian poszczególnych działań czy dziedzin życia Kościoła i teologii, wchłoniętej do nauki Kościoła, jest tak duża, że ci, którzy próbują dzisiaj mówić o konieczności czy o potrzebie nowego soboru, kolejnego Soboru Watykańskiego, moim zdaniem nieco się mylą. Jest jeszcze, w moim odczuciu, dużo do zrobienia, żeby zaakceptować, przyjąć to, co zostawił nam Sobór – pojąć, przyjąć i tym wszystkim żyć. Obecnie Papież Benedykt XVI idąc niejako śladami Jana Pawła II, systematyzuje pewne rzeczy. Czasem może się odnosić wrażenie, że jakby hamuje pewne kierunki, bo niewątpliwie w pewnych

dziedzinach tylko „musnęliśmy” ten Sobór, przyjęliśmy go zewnętrznie. Tymczasem zauważam u Benedykta XVI jakąś głęboką refleksję nad tym, co było. Wydaje się, że potraktowaliśmy pewne sprawy na Soborze zbyt odcinając się od przeszłości Kościoła, od piętnastu czy siedemnastu wieków jego dziejów. Do tego Papież w tej chwili wraca mówiąc o liturgii czy o innych sprawach związanych z doktryną Kościoła. Niektórym się wydaje, że jest to cofanie się. Nie, to jest powiedzenie Kościołowi, że jeżeli coś przez piętnaście wieków było dobre, to nie może nagle w jednym roku być zapomniane, cofnięte. Nie w ten sposób tworzy się tradycja Kościoła.

HW: Księżę Arcybiskupie, na Soborze Watykańskim II nastąpiła pewna redefinicja Kościoła. Mówi o tym szczególnie Konstytucja o Kościele. Był to niewątpliwie jakiś wstrząs dla Kościoła. Kościół zachodni przeżył to mocno. Wielu księży porzuciło kapłaństwo, wielu katolików nie mogło zgodzić się z tym, co rzeczywiście ten Sobór przyniósł. Ale chyba Kościół zachodni już jakoś wyszedł z tego wstrząsu i próbując skutecznie zasymilować ducha soborowego. Natomiast w Polsce nie przeżyliśmy aż takiego, że tak powiem – wstrząsu. Jak Kościół w Polsce doświadczył tego ożywczego ducha Soboru Watykańskiego II?

Abp K. Nycz: Myślę, że Kościół w Polsce ciągle tkwi w tym doświadczeniu, zmierzającym do poszerzenia rozumienia eklezjologii. Kościół to zgromadzenie wiernych pod przewodnictwem papieża – znamy tę definicję, jako jedyną katechizmową, obowiązującą wcześniej. Ta piramidalna wizja Kościoła, czy definicja Kościoła sprawiała, że wyraźnie w tej definicji Kościół dzielił się na czynnych, zaangażowanych, i biernych, czyli katolików świeckich, którzy byli jakby przedmiotem działań tych, którzy byli podmiotem – biskupi, księża. Przychodzili oni po to, by zapewnić sobie zbawienie zgodnie z tą definicją. Natomiast zapomniana została trochę wizja Kościoła, czy zadanie Kościoła, które Chrystus postawił, a które dotyczyło nie tylko własnego zbawienia, ale także pójścia w świat i głoszenia dalej Ewangelii tak, jak to czynił Chrystus, czyli przedłużenia misji Chrystusa w Kościele. Niektórzy idą tak daleko, że mówią, iż Kościół ma być Chrystusem na nasze czasy. Wynika z tego, że brakowało tej wizji, która jest w Piśmie Świętym, to znaczy została ona – myślę – w średniowieczu zagubiona w wizji Kościo-

ła jako Mistycznego Ciała Chrystusa, gdzie głowa i wszystkie członki złączone Duchem Świętym są potrzebne po to, by głosić Ewangelię, czynić miłość itd. Natomiast Sobór odkrył to na nowo, dając kilka, jeżeli nie kilkanaście obrazów Kościoła i definiując go właśnie przez te nowe obrazy, pokazując, że się nie da zamknąć Kościoła do jednej definicji. Sobór ukazywał również nowe zadania Kościoła. Tutaj dotykamy problemu, który – mnie się wydaje – pierwszy odkrył Karol Wojtyła zaraz po Soborze, kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych napisał książkę *U podstaw odnowy*. Połowa tej książki jest o apostołstwie świeckich. Czyli redefiniował Kościół pokazując, że wszyscy są Kościołem i wszyscy są wezwani do apostołstwa, każdy na swój sposób, na miarę swego powołania chrzcielnego, potwierdzonego w bierzmowaniu czy w sakramencie małżeństwa, a nie tylko księży.

I teraz dotykamy owego kryzysu w Kościele po Soborze Watykańskim II. Dobrym przykładem jest tutaj historia Kościoła w Holandii. Do Soboru Watykańskiego II Holandia posiadała największą ilość procentową księży i misjonarzy w stosunku do populacji, również ogromną ilość zakonów żeńskich. I co ciekawe, połowa szkolnictwa była prowadzona przez siostry zakonne habitowe, natomiast świeccy postrzegani byli jako element drugorzędny i raczej w charakterze administracyjnym. Natomiast domena wychowania jak i wiele innych dziedzin życia Kościoła holenderskiego czy niemieckiego była w rękach księży i można tutaj mówić o prawdziwej laicyzacji duchownych w tym znaczeniu, że podejmowali funkcje, do których święcenia nie są konieczne. Co się teraz dzieje? Przychodzi źle przyjęty Sobór i teologia apostołstwa świeckich i nagle, zarówno księży jak i świeccy słyszą, że robiliśmy to zastępczo, co powinni robić świeccy, że nie jesteśmy tu potrzebni. I oddało się świeckim w jednym momencie to wszystko, do czego nie byli przygotowani. W konsekwencji czego zrodziło się myślenie, że na przykład dziewczyna mówiła, iż mogę być nauczycielką w szkole katolickiej nie idąc do zakonu. I zaowocowało to w ciągu 20 lat odejściami księży, którzy nie wytrzymali tej presji. Nie chodzi tu tylko o kwestię celibatu, ale poczucia się niepotrzebnymi, a w konsekwencji młodzi w następnym pokoleniu nie myśleli o wstąpieniu do seminarium duchownego dlatego, że Kościół jest Kościołem, który może się realizować siłami świeckich.

I poszła druga skrajna fala, obejmująca ostatnich 40 lat – potężna klerykalizacja świeckich w tym sensie, że zaczęli wchodzić w funkcje, które niekoniecznie są dla nich i zaczęli odsuwać księży od funkcji wewnątrzkościelnych, np. przy ołtarzu, do których jednak święcenia są potrzebne. Teraz należałoby starać się wrócić do właściwych proporcji: przyjąć autonomię świeckich w Kościele, przyjąć ich zadania ad intra et ad extra, odejść od fałszywego klerykalizowania świeckich i laicyzowania duchownych. U nas powoli w to wchodzimy, może gdzieś niedługo mamy to przed sobą, tymczasem w znacznej mierze na Zachodzie już to przeminęło, chociaż dalej mocno są „poozbijani”. I oddawanie świeckim funkcji, które poniekąd z natury należą do nich, nadal jest bardzo trudne.

HW: Trafna ocena Kościoła na Zachodzie, jednakże w Polsce wydaje się, że jest nieco inaczej. Stąd pytanie: czy nie zrozumieliśmy Soboru Watykańskiego II, czy też byliśmy oporni na to wszystko, co się na Soborze stało? To, co Ksiądz Arcybiskup przedstawił, dotyczy Kościoła na Zachodzie, tymczasem u nas problem świeckich zaczyna się dopiero pojawiać i rozdział pomiędzy hierarchią Kościoła a świeckimi jest jeszcze u nas bardzo mocny.

Abp K. Nycz: Wpływ i rozdział, ale u nas dalej duchowieństwo postrzegane jest przez świeckich jako to „czynne” w Kościele, a świeccy czują się bierni. Można w tym przypadku mówić o „uśpionym olbrzymie”, ale myślę, że jedną z zasadniczych przyczyn jest to, że przez ostatnich 20 lat, a może i więcej, jednak patrzyliśmy na Kościół w Polsce jako na Kościół, w którym wszyscy są jedno. Wydaje mi się, że jedną z przyczyn, że świeccy nie byli nam potrzebni, było to, że czuliśmy się za bardzo samowystarczalni. Tymczasem, jeżeli się uważa, że 95% ludzi w Polsce jest ludźmi wierzącymi, to oczywiście żyje się w pewnej fikcji, że my nie potrzebujemy być Kościołem ewangelizującym, ewangelizacyjnym czy misyjnym wręcz, ponieważ nadal wszyscy do nas przychodzą i my będziemy ich „obsługiwać przy ołtarzu” duszpastersko. I to tkwiło w naszej mentalności bardzo długo, bo śmiem twierdzić, iż to że dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, co czytamy w gazetach, że są pewne środowiska, gdzie związek stały z Kościołem ma 25% wiernych, to nie jest rzecz, która się stała w ciągu ostatnich piętna-

stu lat, ale to było w latach 70-tych i 80-tych też, tylko w imię tamtych czasów, kiedy trzeba było trzymać jedność Kościoła, po prostu udawaliśmy, że tego nie zauważamy. Jeżeli się taki obraz przyjmie, to świeccy nie są potrzebni.

Natomiast kiedy przyszły nowe czasy, to księża najłatwiej przekonują się do potrzeby świeckich tam, gdzie sobie nie radzą, czyli ciągle widzą świeckiego jako przedłużenie swoich własnych rąk i swojego własnego pomysłu. Jak sobie ksiądz nie radzi ze sprawami budowlanymi, to wreszcie teraz powoli zaczyna korzystać z fachowców, zatrudniać świeckich, bo to jest ich własna misja. Jednak ciągle odnoszę wrażenie, iż nie zdajemy sobie sprawy z tego, że duchowieństwo w polskim Kościele bez świeckich „nie obsłuży” tych wszystkich spraw ewangelizacyjnych, gdzie głos księdza, „ręce księdza” są zbyt krótkie i do nich można dotrzeć tylko przez rzetelne, przygotowane w parafiach, przygotowane w Kościele apostołstwo świeckich.

Dla mnie niepowodzenie czy słaba aktywność Akcji Katolickiej leży w tym, że źle wyinterpretowaliśmy owo „pod kierunkiem hierarchii”. Czyli świeccy nadal uważają, że są „prowadzeni za rączkę”, a z kolei księża uważają, że jak nie będą „sterować” nimi, to oni sobie nie poradzą, bo są nieprzygotowani. I bardzo często kończy się tym, że takie ogniwo Akcji Katolickiej czy grupa świeckich, którzy chcą coś robić w Kościele, po jakimś czasie rozstają się z parafią, bo nie widzą swojego miejsca, nikt im go nie pokazał, a z drugiej strony nie chcą być „prowadzeni za rączkę”. Ta rzeczywistość jest jeszcze przed nami, to znaczy wydaje mi się, że mamy szansę skorzystać z zachodnich doświadczeń, dlatego tyle o nich mówiłem, żeby nie popełnić błędów. Skoro przegapiliśmy przygotowanie świeckich do apostołstwa i spóźniliśmy się, to niech to będzie „błogosławiona wina” w tym sensie: „zaczniemy teraz coś robić mądrze i szybko”, korzystając z doświadczeń negatywnych, które się przydały Kościołowi na Zachodzie.

HW: Przejdźmy teraz do owego ducha w kontekście religijnym. Chcę zapytać o ducha wniesionego w życie katolików przez Jana Pawła II. Wydaje mi się, że Jan Paweł II przez swój bardzo długi pontyfikat dokonał bardzo dobrego „aggiornamento” Soboru Watykańskiego II w wymiarze pastoralnym. Jak to się przekłada na sytuację polską?

Abp K. Nycz: By nie zawłaszczyć Papieża tylko dla Polski, należy spojrzeć na znaczenie tego pontyfikatu dla Kościoła i świata w ogóle. Nie ulega wątpliwości, że Papież był naszym rodakiem i przyniósł do Rzymu to wszystko, co było właściwe katolicyzmowi polskiemu, pogłębianemu oczywiście przez swoje studia i kontakty z Zachodem i przez swoją profetyczność, którą w sobie miał. Ale to był człowiek, który – jak o nim napisano po śmierci – mniejszą wagę w swoim pontyfikacie przywiązywał do tego, by odpowiadać na pytania: „dlaczego”, a większą do tego, aby zanieść to, co on przeżywał, widział, bo to był mistyk. Myślę, że zawiózł do świata i do Rzymu to, co się nazywa „tradycyjnym katolicyzmem”, że nie lekceważył, wręcz przeciwnie – preferował masowe spotkania. Liczba osób, które się spotkały z Papieżem przez 26 lat jest niewyobrażalna i myślę, nawet jeżeli nikt tego nie liczył, ta liczba będzie odpowiadać liczbie katolików na świecie. Oczywiście ktoś może powiedzieć, że jest to katolicyzm nie na „nasze czasy”, bo po co poświęcać tyle czasu na spotkania z takimi tłumami. Jednakże dla tego, co nazywa się „przybliżeniem Chrystusa do ludzi”, to co zrobił ten Papież dla Kościoła powszechnego i świata ma ogromne znaczenie. Pokazał on, że droga pogłębiania owego Ducha Bożego w ludziach musi iść dwutorowo: nie rezygnowania z łatwego katolicyzmu „masowego” i drugi kierunek: wśród tych, którzy przychodzą masowo szukać grup, które byłyby duchowo pogłębiane, by później wpływały zwrotnie na tych, którzy są bardziej powierzchowni religijnie. Wydaje się, że Jan Paweł II szedł tym pierwszym kierunkiem, natomiast Benedykt XVI, korzystając z tego fundamentu, który zostawił mu Poprzednik, tym drugim. W moim odczuciu są to kontynuujące i kreatywnie pogłębiające się pontyfikaty.

Teraz dopiero przejdźmy na grunt polski. Myślę, że rzeczywiście te 26 lat dla Polski było bardzo istotne, także w tym znaczeniu, że akurat trafił się bardzo trudny czas. Komunizm słabł z powodu błędu antropologicznego i ekonomicznego (1976 rok to początek poważnego już kryzysu) i dlatego nie można powiedzieć, że to, co się stało w rok po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II (1979), stało się tylko dzięki Papieżowi. My w Polsce dzisiaj, zdejmując z pomników historii rozmaite osoby, za małą wagę przywiązujemy do tego, co zrobił Papież dla roku 80-tego, czyli dla pierwszej Solidarności i co potem zrobił dla całego stanu wojennego i w 1989 roku dla zjednoczenia Europy. Sądzę,

że Helmut Kohl w wielu swoich przemówieniach bardziej potrafił wyartykułować wdzięczność Europy za osobę Papieża niż my, którym się zawsze wszystko należy. Kiedy Papież to robił, to wszyscy „hura” byliśmy przy nim, natomiast nie wiem, czy ktokolwiek – może jakieś elity – uświadamiał sobie, że jednak fundament zrywu Solidarności, oprócz wspomnianych błędów w samym komunizmie (co Papież nazwał błędem antropologicznym i ekonomicznym), poprzez wizytę Papieża w 1979 roku, a szczególnie spotkania na warszawskim Placu Zwycięstwa i na krakowskich Błoniach, dało siłę temu ludowi, który się poczuł mocny i poszedł w 80-tym roku i tego nikt nie mógł zahamować. Później w 1989 roku zburzono mur berliński i Europa się zjednoczyła.

Niewątpliwie w tej wędrówce ludów, którą przeżyliśmy, Papież Słowianin, Papież „zza muru” miał ogromne znaczenie. Czy ten pontyfikat spożytkowaliśmy do końca? Oczywiście, że odpowiedź jest „nie”, podobnie jak to było z Soborem. To znaczy w dużej mierze Sobór nadal jest przed nami w myśleniu księży i ludzi świeckich o wielu sprawach Kościoła. Tak samo ten pontyfikat jest przed nami do głębokiego i wewnętrznego przyjęcia, choć z drugiej strony, o tym często przestrzegam, to nie jest tak, że Kościół w Polsce zastępczo prowadzony był przez Papieża i dlatego, jak Papież odejdzie – jak sądzili niektórzy – to się wszystko zawali. Nie, Papież był potężnym inspiratorem działań Episkopatu, księży i świeckich też, chociaż za mało korzystaliśmy z tego, bo bardzo często czekaliśmy na „gotowce”, a on był tak wielkim człowiekiem, że nigdy za nikogo decyzji nie podejmował, chociaż owszem, w pewnych momentach zwrotnych, kiedy był proszony, zabierał głos jasno, zdecydowanie, jakby za nas i też tego dzisiaj nie pamiętamy. Szczególnie pamiętam rok 2003, kiedy się decydowały losy naszego wejścia do Unii Europejskiej i Papież wtedy wyraźnie powiedział w kilku wystąpieniach: „nie dyskutujmy «czy», tylko «jak» mamy wchodzić”. I już wtedy wielu ludzi, którzy dzisiaj są wysoko postawieni u władzy, po cichu mówili: „gdyby to nie był Papież Polak, to powiedzielibyśmy mu: co nam tu będzie Niemiec rządził”, albo twierdzili, że to ci „różowi mu podpowiedzieli”. Czyli sprowadzali go do swoich partyjnych „interesików”, a dzisiaj, kiedy wszyscy konsumują jedność europejską, niestety głównie na płaszczyźnie ekonomicznej, to ci, którzy przez 4 lata najgłośniej krzyčili i byli przeciw i pełni wątpliwości co do stanowiska Papieża,

dzisiaj się nie przyznają do swoich błędów, a już nie mówię, żeby powiedzieli „przepraszam”, ale przynajmniej powiedzieli ludziom, że się pomyliliśmy.

HW: W czerwcu 1979 roku Jan Paweł II w swojej homilii wygłoszonej podczas Mszy Świętej na Placu Zwycięstwa w Warszawie, dramatycznie wręcz wołał: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Wydaje mi się, że ten Duch rzeczywiście zstąpił, bo to oblicze się odnowiło: powstanie Solidarności, bezkrwawe obalenie komunizmu. Czy nie wydaje się Księdzu Arcybiskupowi, że dzisiaj jeszcze raz należałoby wołać: „niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”?

Abp K. Nycz: Wydaje mi się, że to jest problem ludzi na całym świecie, a Polaków szczególnie, że my bardzo energicznie „zapalamy się jednorazowo”. Widać na każdym kroku, czy to dotyczy spraw politycznych, religijnych, czy Papieża. Na przykład Warszawa – potrafiła się pięknie zmobilizować 2 kwietnia w drugą rocznicę śmierci Papieża, po kilkanaście tysięcy ludzi w różnych miejscach w ten wieczór. Natomiast gdy chodzi o systematyczną refleksję nad myślą Papieża w ciągu roku, to tutaj jest gorzej. Oczywiście, że nie może być ciągle śpiewania na wysokim „c”, bo się można zmęczyć, czyli muszą być wahania, amplituda w duszpasterstwie i to samo jest z tym wydarzeniem: to już się nie powtórzy. To wydarzenie, które miało swój kontekst na Placu Zwycięstwa w 1979 roku, podobnie jak wydarzenie „bierzmowanie dziejów” na Błoniach w Krakowie, to dwa spotkania dziejowe, które się już nie powtórzą. I chodzi o to, byśmy zawsze byli świadomi dwóch rzeczy: trzeba wołać, żeby Duch Święty zstąpił, czyli trzeba się modlić, ale jednocześnie trzeba się otwierać na działanie tego Ducha. I tak samo, jak mówimy: „niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”, to wydaje mi się, że dla dzisiejszych dyskusji etycznych, relatywizmów itd. równie kluczowe są słowa z Błoni „musicie być mocni”. Ale również słowa, które wypowiedział na Błoniach: „czy można Chrystusowi powiedzieć «nie»” – zawiesił głos aktorsko i wszyscy byli przekonani, że odpowie, że „nie można”. A On mówi: „można” i wielu tak mówi, tylko pytanie aksjologiczne, które jest ważniejsze, brzmi: „czy wolno”. A jeżeli wolno, to w imię jakich wartości wolno Chrystusowi powiedzieć „nie”, czyli odrzucić Ewangelię i przyjąć swoją etykę. To właśnie

dzisiaj przeżywamy w myśleniu etycznym, gdzie człowiek odzuca Chrystusa, bo krzyżuje mu jego ludzkie wybory i plany, a on chciałby sobie tworzyć moralność i decydować co jest dobre, a co złe, znowu nie pamiętając słów, że prawo moralne jest poza nami, czy ponad nami i nie naszym celem jest je stanowić, tylko odkrywać, poznawać.

HW: Wydaje się, że jednym z ważniejszych przejawów, zarówno dla Kościoła jak i społeczeństwa, obecności tego ducha, jest obszar edukacji. Ksiądz Arcybiskup jako przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski w jakimś sensie odpowiada za wychowanie katolickie. W jaki sposób Kościół może się włączyć z tym duchem Soboru Watykańskiego II, duchem Jana Pawła w edukację, prowadzoną zarówno przez instytucje kościelne, społeczne i państwowe?

Abp K. Nycz: Wydaje mi się, że to jest to, o czym mówiliśmy w związku z Soborem i Janem Pawłem II. Ten duch może włączyć się w całą edukację: w uczelnie wyższe, szkoły samorządowe, podstawowe i średnie przez uformowanych katolików świeckich, którzy działają tam na własną odpowiedzialność chrzcielną, a pracując, wcale nie muszą nadużywać słowa „Pan Bóg”, jednocześnie będąc świadkami Chrystusa i przemieniać ten świat edukacyjny. Z drugiej jednak strony sądzę, że trzeba zacząć myśleć o ofercie edukacyjnej kościelnej, własnej, katolickiej. Dlaczego? Pamiętam dyskusję, dlaczego w Polsce nie powinniśmy za bardzo martwić się o szkoły katolickie, ponieważ jest nas 95% katolików, więc powinniśmy się troszczyć, żeby wszystkie szkoły były dobre. To jest prawda, ale wiemy doskonale, jak ta prawda jest wadliwa w sprawie cyfr także i dlatego w tej sytuacji nie rezygnujemy z troski o to przez porządnego ministra, który jest katolikiem, czy przez porządnego rektora czy profesora, by każda szkoła publiczna była dobra i miała w sobie warstwę aksjologiczną. Jednak powinniśmy bardziej dbać o to, żeby stwarzać oferty szkół katolickich na każdym poziomie i w większym wymiarze, i to nie tylko po to, żeby to była pierwsza formuła na rynku edukacyjnym, ale także, żeby część ludzi, których na to stać, mogła z tego korzystać.

Ciągle jednak przed nami stoi tak zwana filozofia państwa: chodzi o to, żeby państwo poprzez ustawy, a samorządy ich realizację, przyjęło zasadę zarówno w działalności socjalnej,

społecznej, charytatywnej, a przede wszystkim edukacyjnej, by płacić tak samo wszystkim, nie patrząc na ich przekonania ideologiczne czy ideowe, a jedynie czy robią to dobrze. Żeby nie było tak, że się swoje szkoły lubi bardziej. A jeżeli jest to szkoła katolicka, to się ją ogranicza. Doświadczyłem tego na północy Polski, gdzie większość szkół miała tylko połowę dopłaty. Pod tym względem południe Polski jest bardzo życzliwe, bo w szkołach podstawowych, gimnazjach, liceach dopłata jest pełna, tak jak decyduje władza samorządowa, a bardzo często samorząd dodaje jeszcze, ale to nie jest myślenie powszechne. W związku z tym powszechna dostępność korzystania ze szkół katolickich możliwa będzie wtedy, kiedy czesne będzie bardzo niskie, albo nie będzie go wcale, bo jeżeli na przykład w Warszawie czesne w szkołach katolickich wynosi 1000-1500 zł, to proszę powiedzieć, jaka jest dostępność szkół katolickich przy tak wysokim czesnym. Uważam więc, że Kościół żadnej z tych dróg nie powinien zaniedbać. Chodzi o to, aby poprzez katolików świeckich był żywo obecny w szkołach publicznych, ale także na szerszą skalę oferował dostępność szkół katolickich kościelnych, bądź katolickich założonych przez katolików świeckich pod auspicjami Kościoła.

Wydaje mi się, że takich możliwości jest mało, szczególnie na poziomie szkół wyższych, dlatego, że dwanaście wydziałów teologicznych na uniwersytetach państwowych dają minimalną ofertę świeckim, najwyżej w przygotowaniu do katechezy. One służą głównie przygotowaniu księży. Natomiast taką funkcję pełni UKSW w Warszawie, KUL w Lublinie i WSFP „Ignatianum” w Krakowie, ale sądzę, że jak na katolicki kraj, jakim jest Polska, tych propozycji mogłoby być więcej.

HW: Chciałbym dotknąć zagadnienia związanego z uniwersytetami, czy szkolnictwem wyższym, bo tak, jak Ksiądz Arcybiskup zauważył, 95% społeczeństwa polskiego to katolicy, a mamy praktycznie dwa uniwersytety i jedną szkołę wyższą. Czy w tym wypadku nie należałoby szukać przyczyn tego dziwnego zjawiska w tożsamości katolickiej Polaków, bo przecież na ponad 400-stu uczelniach wyższych w Polsce w większości wykładają profesorzy katolicy? To prawda, że potrzebujemy jeszcze uniwersytetów katolickich, ale przecież tymi uniwersytetami zarządzać będą katolicy. Gdzie więc tkwi problem?

Abp K. Nycz: Jeżeli w Polsce przed wojną było bodaj pięć uniwersytetów, politechnik nie było i wśród nich był jeden katolicki lubelski, to było bardzo dużo. Jeżeli dzisiaj w Polsce szkół wyższych jest ponad 400 (300 prywatnych i 120 państwowych), to dwie czy trzy szkoły są śladową obecnością. To jest bardzo złudne nie liczenie się z cyframi. Jeżeli w tamtych czasach w Polsce było ok. pół miliona studentów, a my mieliśmy objętych w duszpasterstwach akademickich ok. 30 tys., to było to ponad 6 %. I zostaliśmy przy tych 30 tys., tylko, że dzisiaj to już jest 1 %. To samo dotyczy szkół wyższych, proporcji świeckich i katolickich, więc jeszcze raz powtarzam: na pewno katolicy nie powinni swego mundurka chrześcijańskiego chować, kiedy idą na uniwersytet świecki. To moim zdaniem nie wyklucza propozycji szkół katolickich w Polsce, uniwersytetów czy szkół wyższych katolickich, dlatego, że wówczas dotykamy jakby dwóch rzeczy: podstawowego dotknięcia aksjologicznego, które powinno się dokonywać we wszystkich uczelniach, ale chcemy szukać owego „więcej” w szkołach katolickich, bo ciągle stawiam pytanie, kiedy przychodzą do mnie ludzie proszący o akceptację na założenie katolickiej szkoły: co macie oprócz tego, że jesteście tak samo dobrzy, albo nawet lepsi detalicznie, jak sąsiednie szkoły, co oferujecie więcej. Bo jeżeli nie oferujecie czegoś nowego, to pytam: po co w ogóle tę szkołę zakładać? Po to, żeby na niej zarabiać? Po to, by spełniać swoje ambicje zakonne, diecezjalne, czy parafialne? Więc to, w moim odczuciu, jest do przemyślenia zanim się zakłada uniwersytet czy szkołę. Kiedy bywam często na UKSW, stawiam pytanie: czym się różnimy od innych uniwersytetów – od Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego itd.

HW: Idąc po tej linii zauważa się, że zmienia się myślenie Polaków, również to myślenie edukacyjne. Czy Ksiądz Arcybiskup uważa, że to, co dzieje się ze szkolnictwem polskim, z wychowaniem na różnych szczeblach idzie w dobrym kierunku, czy też należałoby coś na tej drodze poprawić?

Abp K. Nycz: Ostatnio uczestniczyłem w dyskusji na spotkaniu z rektorami wszystkich uczelni warszawskich i długo rozmawialiśmy między innymi na te tematy. Mnie się wydaje, że jedna szkoła relatywnie mała, katolicka, prywatna może dać bardzo dużo i dlatego jestem bardzo ostrożny w tym, żeby wszystko

likwidować, bo niź idzie – to jest to, co się nazywa personalnością kształcenia. Postawiłem problem; czy jest do odbudowania w uczelni mającej 50 tys. studentów właściwa relacja mistrz – uczeń? Oczywiście, dyskusja była bardzo żywa. Wynika z tego, że na jednego pracownika przypada zbyt dużo obowiązków: długość egzaminów ustnych, bo mówi się, że sprawiedliwsze niż egzaminy testowe, ilość wykładów, ćwiczeń, konferencji. Relacja mistrz-uczeń znikła, bo wszystko jest załatwiane anonimowo na papierze. Nie ma także poważnych seminariów magisterskich. Dyskusja pokazała jedną prawdę, że niestety idziemy w takim kierunku, że magisterium będzie kiedyś, za parę lat, takim stopniem, jak kiedyś matura, czyli doktorat będzie tym, czym jest teraz magisterium. Być może tak będzie, a na Zachodzie już tak zaczyna być. Ale były także głosy rektorów, którzy mówili, że relacja mistrz-uczeń jest możliwa, ale trzeba tego chcieć. I właśnie między innymi to jest jedna z takich szans i w szkołach średnich i na studiach, żeby nie oszczędzać na oświacie, nie zwalniać nauczycieli, nie utrzymywać dużych klas, czy tak zwanych grup ćwiczebnych dla studentów, tylko skorzystać z tej okazji, żeby „ukameralnić” studiowanie.

W tym także kontekście widzę zadanie dla szkół i uniwersytetów katolickich. Żeby były to te uczelnie, gdzie się dba nie tylko o poziom dydaktyczny, poziom wykształcenia, ale także o poziom samowychowania, bo trudno mówić o wychowywaniu studenta, który jest dorosłym człowiekiem. Chodzi o taką relację personalną studenta, która byłaby de facto relacją sprzyjającą wychowaniu młodego człowieka. Dla mnie problemem nie jest to, że dzisiejsza młodzież sobie nie poradzi z językami, z komputerem – oni idą „bez obciachu” do tego dzisiejszego świata, są przygotowani, nie mają kompleksów mojego, czy starszego pokolenia. Tylko pytanie: czy nie zawiodą na płaszczyźnie moralnej, na płaszczyźnie wartości, czy będą dość wytrwali w swoich chrześcijańskich postawach.

HW: Wydaje mi się, że nadal trwamy w takim okresie transformacji społecznej po 1989 roku, co między innymi obserwuje się wśród studentów, że jednak to „skażenie” czasami komunizmu gdzieś tam nawet w nich jest – to jest kwestia mentalności, kwestia myślenia. I nawet w tym młodym pokoleniu, które urodziło się już w wolnej Polsce, gdzieś dalej to tkwi – dlatego, że są wychowywani przez nas, którzy też jesteśmy w jakimś

sensie „skażeni”. Czy Kościół próbuje coś robić poprzez swoje programy edukacyjne, by pomagać trochę zmieniać tę mentalność i myślenie Polaków, czy też powiedzmy, Kościół sobie, państwo sobie?

Abp K. Nycz: Trudno odpowiedzieć na to. Przyczyna jest taka, jak ksiądz redaktor wspomniał. To znaczy, jeżeli pozostałości są w ludziach, którzy mają dzisiaj 25-30 lat, którzy liźnęli komunizm, jako małe dzieci, to wina jest nasza – dorosłego pokolenia, że nie potrafiliśmy stanąć troszkę wyżej, być może to było niemożliwe, i ochronić ich od tej mentalności klatki, w której my byliśmy wychowani – jakby to Tischner dzisiaj powiedział. Myślę, że na przykład na Akademii Ekonomicznej, czy jakiejś innej uczelni tego typu, jeżeli jakiś profesor czy ktoś przez całe lata wykładał ekonomię polityczną, udowadniał wyższość socjalizmu nad kapitalizmem, to boję się, że on nie jest w stanie do końca swojego czynnego życia zawodowego całkiem się od tego wyzwolić, a z kolei państwo nie ma pieniędzy na to, by się go pozbyć i zastąpić profesorem z Oxfordu. Jak widać, pewne rzeczy są poza nami i tutaj przychodzą na myśl oba pokolenia „idące z niewoli egipskiej”, czyli nie jedno, które tam mieszkało, ale i drugie tam urodzone, żeby było większe oczyszczenie. To, co mówię jest smutne, ale coś z tego jest.

Co Kościół może robić? Wydaje mi się, że Kościół może coś zrobić na trzech płaszczyznach: może robić bardzo dużo w swoich szkołach, to znaczy pokazać w szkołach i uczelniach katolickich nie tylko, że wychowanie jest ważne, ale że spór o fundament wychowania jest sztuczny, czyli pytanie o to, na jakich wartościach wychowujemy w szkołach katolickich nie powinno mieć miejsca. Druga sprawa, to wpływ na program wychowawczy, gdyby to tylko było dobrze robione i ta rzesza 30 tys. katechetów w szkołach publicznych bardziej uczestniczyła w powstawaniu tego programu, wówczas byłby to bardziej bezpośredni wpływ na wychowanie, na nauczycieli, na grono pedagogiczne. Trzecia sprawa, o której ciągle, moim zdaniem, za mało myślimy, to mądre duszpasterstwo środowisk pedagogicznych: nauczycieli, profesorów. Przecież mamy w szkołach wyższych i szkołach średnich takie same odzwierciedlenie procentowe katolików, jak w całym życiu społecznym i nikt im nie może zabronić w realizacji swojego zawodu czy powołania być chrześcijaninem z krwi i kości.

HW: Wydawać się może, że Kościół mało robi, gdy chodzi o formowanie tych, którzy zarządzają życiem społecznym. Chodzi o to, by szczególnie młodym ludziom, pragnącym angażować się w życie polityczne, dać nie tylko wiedzę, ale przede wszystkim jakąś konkretną, kulturową, moralną formację, byśmy nie przeżywali tego wszystkiego, co często widzi się i słyszy w polskim sejmie, a co ubliża porządnemu Polakowi.

Abp K. Nycz: Tutaj przestrzegałbym przed jedną rzeczą. Owszem, to, co ksiądz redaktor powiedział, jest bardzo ważne, ale z drugiej strony bardzo często słyszę odwrotną reakcję, że nasi dziennikarze, nasi politolodzy po kościelnych uczelniach są i bardzo pobożni, i bardzo z Kościołem związani, ale niestety niekompetentni. A więc to, co ksiądz mówi jest konieczne, potrzebne na bazie dobrego warsztatu. Wydaje mi się, że pewne rzeczy potrzebne są przy studiowaniu politologii i dziennikarstwa. Przede wszystkim fachowość. Mam na myśli tych, którzy będą uprawiać politykę i tych, którzy będą o niej pisać. Druga sprawa, że powinno to być na bazie studiów podyplomowych, dlatego, że wydaje mi się, że nie można być politykiem czy dziennikarzem „od wszystkiego”, trzeba ukończyć wcześniej inny fakultet, na przykład kulturoznawstwo i wtedy może być na przykład dziennikarzem piszącym o kulturoznawstwie.

HW: Reasumując to wszystko, chciałbym jeszcze zapytać: czy Kościół nie powinien tak, jak zaznaczył Ksiądz Arcybiskup w swojej homilii w Piotrkowie Trybunalskim 26 maja tego roku, stosować jakichś naukowych wywodów, jak uprawiać politykę, zarządzać życiem społecznym itd., ale zwięźle, ewangelicznie odwoływać się do wrażliwości sumień? Czy gdzieś Kościół tego nie zaniedbał?

Abp K. Nycz: Myślę, że tak. Weźmy na przykład *Kompendium nauki społecznej Kościoła* – proszę powiedzieć: kto z księży go przeczytał i kto z niego korzysta w homiliach, nie tylko mówiąc do polityków. Kiedy w swojej homilii mówiłem właśnie o sumieniu, mając na myśli na przykład produkt polityka, którym jest decyzja, ustawa taka czy inna, która nie jest owocem jego myśli, rzetelnej dyskusji i decyzji zgodnej z sumieniem, tylko podpowiedzianej przez szefa partii, to wtedy mamy do czynienia z tak zwaną taktyką, a nie etyką polityczną i przyczyna leży nie tylko

po stronie wykształcenia, ale w dużej mierze w tym, że uprawiamy politykę nie jako troskę o dobro wspólne, ale jako taktykę bycia przy władzy.

HW: Księżę Arcybiskupie, oby te słowa się uaktualniały w polskim życiu społeczno-politycznym. Dziękujemy za rozmowę!

Rozmawiał: Wit Pasierbek i Zbigniew Marek